



Gospody dawnej Rzeczypospolitej 13-12-2005, 19:30

[MMochocki](#)

2035 x przeczytano

Przezacna Swawolna Kompania spędza w gospodach spory kawałek życia. A po lekturze przeróżnych dyariuszy odnoszę wrażenie, że temat jest traktowany po łebkach. Karczmy z przejazdem przez środek do "stanu", z obowiązkowym Żydem za kontuarem, opisywane są na ogół według jednego schematu. Prawda, że w wielu dyariuszach karczmy są tylko nieistotnym tłem i - co by tu mówić - jest to najzupełniej w porządku. Nie o przedmiotowość chodzi, a o nieszczęsną schematyczność, którą doskonale znam z autopsji, bo niegdyś u mnie samego co karczma, to był Żyd. Stąd między innymi poniższy artykuł, który pozwoli wam niezmiennie szare tło ubarwić i zróżnicować.

Ale to nie wszystko. Nad czym ubolewam najbardziej, to odziedziczone po systemach fantasy (Hail Warhammer!) ogólne podejście do tematu: uzbrojona po zęby drużyna terroryzująca Bogu ducha winnego karczmarza, przy byle okazji wszczynająca rozróbę, a nierzadko pozostawiająca za sobą trupy i zgliszcza. Wszak przeciwnicy to jedynie tłusty gospodarz, jego rodzina i nieliczni pacholki, czyż nie? Stróża prawa, w tym opieszala i mało skuteczna gwardia miejska, nie byli zbyt zainteresowani ściganiem sprawców, więc wystarczyło wynieść się szybko ze wsi czy miasteczka - i po kłopotach. Ja zaś stanowczo zabraniam przenosić podobne zwyczaje do Dzikich Pół! Tu, w siedemnastowiecznej Rzeczypospolitej, panowały zupełnie odmienne realia. A najważniejszą różnicę stanowi fakt, że staropolski karczmarz prawie nigdy nie był właścicielem swojego interesu, tylko arendarzem (dzierżawcą), zaś prawdziwy właściciel, czerpiący z karczmy niemałe zyski, mieszkał zwykle tuż za miedzą i dysponował sporą gromadką zbrojnej czeladzi. Wnioski są oczywiste. Zapomnijcie o bohaterskim oberżyscie broniącym swej własności wespół z synem i trzema pacholkami i padającym pod ciosami lśniącego miecza napastników. Tutaj chłopak stajenny w razie napaści wskakiwał na pierwszego lepszego konia i sprowadzał pomoc. Od kogo? A z tym bywało różnie. I to jest drugi cel niniejszego traktatu - pokazać tym, co lubują się w beztróskim demolowaniu karczem, z kim tak naprawdę zadzierają.

Na prowincji...

...istniały w zasadzie już tylko dwa typy gospód. Najpowszechniejsze były **dworskie**, własność szlachecka, do którego należały grunta. Oczywiście, szlachcie nie wolno było osobiście parać się handlem, dlatego gospodę trzeba było wydzierżawić komuś innemu, lub przynajmniej osadzić w niej zarządcę. Tylko szlachcic posiadał **prawo propinacji**, więc ktokolwiek chciał pędzić wódkę czy warzyć piwo w jego dobrach, musiał zwrócić się doń o pozwolenie. Sprowadzanie trunków z dalszych okolic opłacało się tylko przy lepszych gatunkach, przeznaczonych dla bogatszych podróżnych. Dlatego karczmarz miał do wyboru: albo kupować trunki z dworskiego browaru i gorzelnii, albo uzyskać (czytaj: wykupić) od szlachecka zezwolenie na prowadzenie własnej produkcji. Takie pozwolenie zazwyczaj dzierżawiono na pewien okres czasu. Tak czy tak, dla szlachecka był to złoty interes. Zresztą, jeśli stać go było na wystawienie karczmy, to i wcześniej nie należał do najuboższych. Zatem Panowie Bracia nie powinni się dziwić, jeśli w sukurs karczmarzowi przybędzie zastęp hajduków lub spora gromada chłopów. Jeśli zaś karczma stoi na ziemiach możnego magnata, którego siedziba odległa jest o dziesiątki mil, zawsze pod ręką będzie ktoś, kto w imieniu pana zarządza danym obszarem, jakiś ekonom lub podstarość. (Nie mylić z podstarością grodzką. Nazywano tak nieraz zwykłych zarządców dóbr prywatnych.)

Drugim typem karczem były **plebańskie**, zarządzane podobnie jak dworskie, z tym że karczma stała na gruntach kościelnych, a właścicielem był proboszcz. Niekiedy też szlachcic

pozwalal plebanowi postawic karczme na swojej ziemi. Zabawny nieraz okazywal sie fakt, ze ksiezy nie obowiazyl zakaz zajmowania sie handlem, wiec rzadziej wydzierzawiali karczmy, woleli prowadzic je za posrednictwem zaufanego rzadcy, a nawet... osobiście. Rzadko bo rzadko, ale czasem można było zobaczyć, jak ksiadz po skończonym nabozenstwie pędzi otwierac karczme i staje za ladą. Ksieza może i nie utrzymywali tyle zbrojnej sluzby co szlachta, ale mogli liczyc na pobożnych parafian. I nie należy nie doceniać osoby duchownej - w XVIII wieku bande okrutnika i degenerata Myszkowskiego rozbił oddzial wyslany własnie przez proboszcza żadnego zemsty za napaść na plebanie i pohańbienie podopiecznej. Odpowiednikami karczem magnackich były biskupie. Istniały też, niegodne osobnego akapitu, karczmy klasztorne lub szpitalne. Dawno, dawno temu, gdy powstawaly wsie na prawie niemieckim, istniały jeszcze karczmy **sołtysie**, a także **“wolne”** karczmy zakladane i prowadzone - jak w fantasy - przez wolnych kmieci. W XVI wieku obie były już niesamowita rzadkością: wolne czasem na Pogórze, a sołtysie tam, gdzie jeszcze uchowala się jaka wieś ze sprawnie działającym samorządem (gromadą) i sołtysem na czele.

Miasta...

...należaly do jednej z trzech kategorii: królewskie, czyli mniej lub bardziej wolne; prywatne, czyli należące do możnego szlachcica oraz kościelne, będące własnością kleru. W miastach prywatnych i kościelnych było tak samo jak na wsi: karczmy (prywatne pańskie, proboszczowskie czy klasztorne) prowadzili dzierżawcy i zarządcy. Obok nich istniały karczmy **mieszczańskie**, jeśli właściciel miasta udzielał stosownych zezwoleń. Rzecz jasna, w miastach królewskich nikt nie miał wyłącznego prawa propinacji, a przepisy ustalala rada miejska i/lub wojewoda czy starosta.

W miastach, do których co jakiś czas regularnie napływały tłumy ludzi (stolice, miejsca zjazdów szlacheckich, miejsca obrad trybunałów itp.) istniały karczmy **czynne okresowo**. Po prostu zmyślni mieszczanie, na co dzień kupcy i rzemieślnicy, przed hucznym zjazdem szlacheckim kupowali ile się dało trunków i jadła, po czym na czas trwania obrad/elekcji/sesji sądowej otwierali we własnym domu coś w rodzaju karczmy: pan domu, syn czy wynajęty pracownik prowadził wyszynk, gospodyni gotowała, przyjmowano gości na stancje. Oczywiście, to tylko przykład, nie reguła - jedni oferowali nocleg i izbę z wyszynkiem, lecz bez jadła, inni tylko same stancje, ale zjawisko było powszechne. W Piotrkowie, na przykład, przybyłej na trybunał szlachcie w pewnym okresie izby wynajmował co trzeci dom. Innym typowo miejskim rodzajem były karczmy **cechowe**, na których przeznaczenie wskazuje sama nazwa. Każdy większy i zamożniejszy cech starał się mieć własną gospodę, a były to zawsze przybytki lepszej kategorii, gdyż często przychodzili tam sami mistrzowie cechowi wraz z rodzinami. Na co dzień przemieszkowali tam czeladnicy, a cech zapewniał im odpowiednią opiekę i stosunkowo niskie koszty utrzymania.

Były wreszcie **winiarnie**. Luksusowe lokale, w których spotykali się bogaci kupcy i zamożna szlachta. Oprócz wykwintnych, drogich gatunków win, podawano również egzotyczne owoce i słodycze: tureckie bakalie, orzechy w miodzie, pomarańcze itp. Jeśli tylko Kompania ma trochę grosza do przepicia, wyprawa do winiarni jest świetnym pomysłem.

Osobną kategorię stanowiły **zamtuzy** *alias* burdele, które łączyły swe właściwe usługi z szynkowaniem trunków, nie najgorszą kuchnią, noclegiem oraz organizacją hucznych zabaw. W zamtuzach przez całą noc rznąły (sic!) kapele, wino tryskało strumieniami, gęste strzały pistoletowe niosły się echem po ulicy, chichotały dziewczki, a pobożne mieszczki z sąsiedztwa zanosily skargi do magistratu. Władze miejskie (w średniowieczu bardzo tolerancyjne) od XVI wieku, kiedy całą Europę ogarnęła wielka plaga chorób wenerycznych, poczęły intensywnie zwalczać prostytutcję. Dlatego stałe, porządne zamtuzy trafiały się u nas od

schyłku XVI wieku prawie wyłącznie w największych miastach, a i to głównie na terenie jurydyk. Te stojące na gruntach podległych prawu miejskiemu z góry nastawione były na czasowe działanie. Zwykle bowiem po paru miesiącach skarg i awantur magistrat zamykał interes, a ładacznice po publicznej (sic!) chłości wypędzano z miasta. Istniały dwa główne typy zamtułów. Zwykle do wynajętego lub kupionego domu przedsiębiorcza niewiasta ściągała kilka - kilkanaście "kobiet powłócznych", które za swe usługi dostawały raczej marne pieniądze, lecz bardziej liczyły się dla nich regularne posiłki i dach nad głową. Drugi typ stanowiły "zwykłe" karczmy, których właściciel wynajmował izby ładacznicom, one zaś pracowały albo na własny rachunek i opłacały kosztu pobytu oraz pożywienia, albo też były zatrudnione przez samego karczmarza. Samotnych, wędrownych prostytutek nie bierzemy tu pod uwagę.

Bezpieczeństwa pilnowała oczywiście straż miejska lub prywatne oddziały wojskowe, a ponieważ Rzeczypospolita była spokojnym krajem (wyjawszy czasy wojny oraz tereny południowo-wschodnie), burdy karczemne, jakkolwiek znane, nie były bynajmniej na porządku dziennym (tu znów wyjawszy podle meliny). Dlatego głośnie awantury natychmiast przyciągały uwagę i sprowadzały stróżów prawa. I nie sądźcie, że władze miejskie patrzyły na rozróby przez palce. W końcu karczmarze płacili spore podatki, a i ze schwytanych szlachciców można było ściągnąć ładną sumkę. Rzecz jasna, nie jako grzywnę, bo ława miejska nie mogła przecież sądzić szlachcica, ale mogła przekazać go pod sąd lokalnego starosty - a jeśli rzecz się działa w prywatnym mieście jakiego magnata, to lepiej, zaprawdę, było się od tego wykupić.

Karczmarze...

...to również temat proszący się o komentarz. Najwyższy czas rozwiać przekonanie, jakoby arendarzem musiał być zawsze Semita. Żydów za przysłowiowymi szynkwassami (które, notabene, rozpowszechniły się dopiero w XVIII wieku - wcześniej za ladę służył zwyczajny długi stół) stało dużo mniej, niż nam się wydaje. Na ziemiach zachodnich, czyli polskich, większość karczmarzy to tameczni mieszkańcy - albo miejscowi chłopci, albo mieszcianie (nie tracili przy tym praw miejskich), albo Niemcy (szczególnie dużo na ziemiach pruskich), albo zmyślni i obrotni ludzie luźni. Trudno uwierzyć, ale Baranowski podaje, że wśród dzierżawców i zarządców karczem trafiali się także ubodzy szlachcice. (A pamiętajmy, że szlachcicowi nie wolno było uprawiać handlu czy rzemiosła pod groźbą utraty klejnotu!) Ci biedacy trzymali się kurczowo szlachectwa stosując sprytny wybieg: mawiali, że nie dzierżawią karczmy jako karczmy, lecz ów spłachetek ziemi, na którym ona stoi. A ziemię dzierżawić było wolno.

Na Litwie i Rusi, owszem. Tam wśród arendarzy zdecydowanie przeważali Żydzi, a często bywało tak, że dzierżawili od pana nie tylko karczmę, ale i całe prawo propinacji. Innymi słowy, kupowali monopol na produkcję alkoholu. Oto więc prawdziwa przyczyna powstań kozackich: Żydzi nie pozwalali im swobodnie pędzić gorzałki. Jednak i na wschodzie, drodzy Starostowie Gry, powinniście czasami w roli gospodarza umieścić Tatara, Ormianina czy jakiś miejscowy element, na Rusi najlepiej Kozaka.

Jako ciekawostkę (bo nie sądzą, żeby Swawolne Kompanie często miały okazję to sprawdzać) powiem jeszcze, że szczególnie dużo cudzoziemców prowadziło winiarnie, i to nie tylko Niemcy i Ormianie, lecz również Grecy, Turcy, a nawet Włosi.

Menu...

...w staropolskiej karczmie było bardzo ubogie. Na pewno dostać można było chleba, zupy, słoniny i wędzonych śledzi, do tego może kielbasy, może jajec lub sera, ale niekoniecznie.

Czasami świeże ryby (jeśli było gdzie łowić w okolicy), czasami drób, jeśli karczmarz miał porządną kurnik. Na żadne specjały w rodzaju szynki, pieczeni czy ciasta nie było co liczyć. Niewiele lepiej było z trunkami. Każda karczma we w miarę cywilizowanej okolicy posiadała przynajmniej dwa gatunki piwa, jedno z prymitywnego dworskiego minibrowaru - warzone byle jak, z byle czego i przez byle kogo, a przeznaczone dla chłopów. Droższe, lepsze piwo dla przyjezdnych najczęściej sprowadzano z pobliskiego miasta. Podawano też podłą gorzałkę (dworską lub własnej produkcji). Lepsze wódki i jakiegokolwiek wina zdarzały się rzadko, miodu także nie było w ciągłej sprzedaży. Zaś to, co było, było zwykle słabe, nędzne i fałszowane.

Po pierwsze, do wszystkiego nagminnie dolewano wody. XVII-wieczna anegdota powiada, że gdy pewien delikatny Francuz poprosił usługującą dziewczkę o trochę wody do rozcieńczenia, usłyszał w odpowiedzi "Nie trzeba, ojciec w nocy dołał już całą stągiew". Mniejsza jednak o wodę. Gorzej, że starano się zamaskować zbyt dużą jej ilość sztucznymi środkami, z których wiele było trujących, a niemal wszystkie szkodliwe.

Podkreślam jednak, że niniejszy opis dotyczy przeciętnej, wiejskiej, przydrożnej karczmy, a więc lokalu dość niskiej kategorii. Gospody w małych miasteczkach iniejedną wielkomiejska też odpowiadały temu opisowi. Jednak w dużych miastach, zwłaszcza pruskich, trafiały się lokale wyższej klasy, oferujące lepsze i bardziej zróżnicowane potrawy. Istniały też, dla kontrastu, jeszcze gorsze mordownie dla flisaków czy marynarzy. Bywały też szynki, w których sprzedawano jedynie piwo i wódkę, o jedzeniu ani noclegu nie było mowy. A niektóre były w istocie domami publicznymi, w tych bywało i piwo i muzyka i nocleg w miłym towarzystwie, chociaż można się było tam zbudzić bez sakiewki, szabli, czapki i butów.

Budynki...

...karczemne bywały bardzo różne. Te opisane dokładnie w podstawce do [DP](#) -jednobryłowe, z przejazdem do stanu przez środek chałupy - były typowe dla ziem litewskich, w Koronie spotykane rzadziej. Najczęściej stajnia i wozownia, czyli stan, znajdowały się w osobnym budynku, w przybudówce lub po prostu przylegały jedną ścianą do gospody właściwej - albo jako jej przedłużenie, albo prostopadłe, tworząc kształt litery L. Nie każda też gospoda była karczmą zajeżdżną, niektóre w ogóle nie posiadały stanu - większość miejskich oraz te wiejskie, które stały w znacznym oddaleniu od uczęszczanych gościńców. Karczmy wznoszono prawie wyłącznie z drzewa, murowane trafiały się częściej tylko w dużych miastach, w Prusach oraz na Śląsku. Nie zapominajmy też o nastrojowych klimatach starych, gotyckich piwniczek bogatych kamienic, gdzie mieściły się na przykład ekskluzywne winiarnie.

Wejdźmy teraz do środka. Wszystkie karczmy - o ile naprawdę były to karczmy, a nie obrócone w gospody zwykłe domy mieszkalne - posiadały dużą izbę karczemną ze stołami i ławami (w lepszych oberżach zdarzały się dodatkowo stołki *alias* zydle). Najuboższe lokale składały się nieraz tylko z tej jednej izby, a gospodarz z rodziną sypiali na słomie pospołu z gośćmi. Tak nędzne przybytki trafiały się jednak nieczęsto, głównie na ziemiach ukraińskich. Lepsze zajazdy oprócz wspólnej sali i prywatnych izb karczmarza dysponowały też jedną lub kilkoma komorami sypialnymi, różnie wyposażonymi - od nieświeżej słomy, przez obszerne ławy, nawet (wyjątkowo) do wygodnego łóżka z pościelą. W miastach, gdzie karczmy służyły bardziej jako miejsca spotkań i pijatyk niż jako noclegownie, bywały gospody z kilkoma bocznymi alkierzami, aby zapewnić dostojniejszym gościom prywatność i odpowiednią izolację od prostackiej klienteli głównej sali. Co bogatsze karczmy przydrożne, do których często zaglądała przejeżdżająca szlachta, również posiadały takie mniejsze izby.

Staropolskie gospody w porównaniu do zachodnich były dość nędzne. Lokale na wysokim poziomie, wyposażone nawet w łóżka dla gości, występowały w miastach pruskich, Krakowie i Warszawie. Im dalej na wschód i południe, tym było gorzej, a najpodlejsze dziury występowały na Ukrainie - z jedną izbą, w której legano pokotem na gnijącej słomie lub gołym klepisku, gdzie podawano tylko wstrętą, palącą gardło gorzałkę i można było mówić o szczęściu, jeśli nie wywoziło się stamtąd wszy w odzieży i gorszego jeszcze robactwa w sakwach.

Propinacja - prawo do wytwarzania, sprzedawania i szynkowania piwa, wina, miodu i wódki. W XVI-XVII wieku prawo propinacji należało wyłącznie do posiadaczy ziemskich. Oznaczało to, że produkować i sprzedawać alkohol mógł tylko szlachecki lub duchowny właściciel danego obszaru oraz ci, którym za odpowiednią opłatą udzielono takiego pozwolenia. Zwykle arendarze wraz z karczmami dzierżawili również prawo do produkcji trunków. W miastach prywatnych teoretycznie było tak samo, jednak często właściciele wydzierżawiali lub nawet nadawali miastu prawo propinacji na własność - wówczas produkcję i handel trunkami nadzorowała rada miejska, tak jak w miastach królewskich. Gwoli ścisłości dorzucę jeszcze, że małe, słabe miasteczka królewskie były przez starostów traktowane jak prywatne.

Jurydyka - część miasta lub przedmieścia będąca prywatną własnością możnego pana, która częściowo lub zupełnie wyłączona była spod jurysdykcji miejskiej. Rozmiary jurydyk wahały się od pojedynczego domu do całej dzielnicy. Chronili się tam tzw. partacze, czyli niezrzeszeni rzemieślnicy i kupcy stanowiący konkurencję dla cechów miejskich, a także niewiasty publiczne, których nie mogła tu osiągnąć władza magistratu. Z ochrony prostytucji i nieuczciwej konkurencji właściciel jurydyki naturalnie czerpał spore zyski.

Przymus propinacyjny - Na wsi, gdzie karczma z reguły należała do pana lub księdza, okrutni feudałowie zabraniali swoim poddanym w ogóle korzystać z cudzych. Chłop, który będąc na targu w miasteczku wstąpił do tamtejszej gospody, ryzykował własną skórą, bo za to groziły plagi, grzywny, gąsior, nurzanie w przeręblu i inne dotkliwe kary. Mało który szlachcic pamiętał, że chłop też stworzenie Boże i piwo lubi. Dawano biedakom paskudne popłuczyny warzone specjalnie dla nich w folwarku lub przez miejscowego karczmarza, a chłopci musieli to kupować, choćby w miasteczku za taką samą cenę oferowano dużo lepsze. Niejednokrotnie i wiejskie karczmy konkurowały ze sobą, zwłaszcza plebańskie kontra dworskie. Pozwolę sobie rozwinąć ten motyw, bo był dość powszechny i stanowić może ciekawą scenerię dla dyariusza:

Sceneria - Dwie graniczące ze sobą wioski, jedna zamożnego szlachcica, właściciela paru wsi w okolicy, druga - z kościołem parafialnym - księdza proboszcza, też kilkuwioskowego. Tuż przy kościele stoi karczma plebańska, w każdą niedzielę ściągająca po mszy tłumy okolicznego chłopstwa, z oczywistą szkodą dla pana, który posiada własną gospodę. W końcu pan, zmęczony ustawicznym karaniem krnąbrnych chamów, zamyka starą karczmę i stawia nową - na samej granicy z wioską kościelną - a odtąd i księżowscy poddani pomykają do cudzej gospody, bo to u pana piwo ponoć lepsze. Obie konkurencyjne karczmy stoją kilkaset metrów od siebie i spoglądają na się wrogo z obu stron doliny, zaś karbowi obu posiadaczy co i rusz to wizytują karczmę sąsiada w poszukiwaniu łamiących zakaz poddanych. Ale chłopci mają i na to sposoby. Niech no który z siedzących przy oknie krzyknie "Karbowy jedzie!", a wszyscy "przestępcy" czmychają przez kuchnię tylnymi drzwiami, w czym karczmarz przykazuje ma nie przeszkadzać.